

Pod lukrem

Serce Edmondo de Amicisa jest w Polsce (i nie tylko) jedną z najbardziej wyszydzonych lektur dla dzieci, niedoścignionym przykładem naiwnego sentymentalizmu i kiczowatej tkliwości, zbiorem prymitywnie moralizujących opowieści dla matolek. Czy nie jest to aby powierzchowna opinia?

Rzecz dzieje się w latach 80. XIX wieku w Turynie. Narrację Henryka, ucznia szkoły elementarnej, uzupełniają listy od ojca i matki oraz „opowiadania miesięczne” stanowiące proponowany przez nauczycieli temat do rozmyślań. Zaczniemy od uczniów i ich przyjaciół. Dowiadujemy się czegoś więcej o kilkunastu z nich. Są to:

Henryk, narrator, syn sławnego inżyniera

Coretti, syn handlarza drzewem na opał

Garoffi, syn właścicielki warzywniaka (ojciec wyemigrował do Ameryki)

??? (imię ani nazwisko niepodane), syn kominiarza

Garonne, syn maszynisty na kolei

Karol Nobis, syn bogatego mieszczanina

Betti, syn węglarza

Derossi, syn przemysłowca, kapitalisty

Rabucco, syn pomocnika murarskiego

Julian, syn urzędnika kolei żelaznych

Precossi, syn kowala

???, syn stolarza, byłego kryminalisty

???, syn akrobaty cyrkowego

Pino, „chłopak z przedmieścia”.

Jest oczywiste i Amicis doskonale zdawał sobie z tego sprawę, iż w owych czasach nie istniała w Turynie (ani w całej Europie) taka szkoła, w której do jednej klasy chodziliby: syn inżyniera, przemysłowca, kowala, węglarza czy sprzedawczyni jarzyn. Zapamiętajmy to dobrze: Amicis nie relacjonuje stosunków społecznych, on je stwarza i buduje. Mityczny ojciec (inżynier) każe zaś synowi zapraszać do domu po kolei wszystkich kolegów.

Przejdźmy na chwilę do „opowiadań miesięcznych”. Ich bohaterami są:

Mały patriota z Padwy (region Wenecji)

Sardyński doboszyk

Mały Kalabryjczyk

Lombardczyk z Małej widety lombardzkiej

Mały pisarczyk z Florencji (Toskania)

Chłopczyk z Genui Od Apeninów do Andów (Liguria)

Simeone z Neapolu *Przy łóżu „Taty”* (Romania)

Robetti (Lazio)... etc.

Spoglądając na mapę ówczesnych Włoch, widać, iż objął Amicis but włoski od cholewki do obcasa. Solidarność społeczna i solidarność narodowa. Ale jakie? Na to też znajdziemy tu dokładne odpowiedzi. Mały patriota z Padwy na francuskim parostatku płynącym z Barcelony do Genui zabawia pasażerów opowieściami ze swojego biednego dzieciństwa. Paru pasażerów, o których dowiemy się tylko, że „to nie byli Włosi”, wynagradza go szczerze za zabawne anegdotki. „Chłopiec napelnił kieszenie. (...) Mógł teraz za te pieniądze kupić sobie różnych słodczy, on, który przez dwa lata łaknął suchego chleba. Mógł też kupić sobie w Genui ubranie, on, co od dwóch lat w łachmanach chodził. Mógł przynieść je rodzicom, którzy pewnie inaczej by go wtedy przyjęli, niż gdyby przyszedł z pustymi rękami. Przecież te pieniądze to były dla niego jakby mały majątek” (pozostawiam gramatykę podług tłumaczenia Marii Konopnickiej.) Wracając do kajuty, słyszy jednak, jak jego dobroczyńcy „nie Włosi” rozprawiają o jego rodakach:

„– Naród nieuków! – rzekł pierwszy.

– Brudasów! – rzekł drugi.

– Zło... – zaczął trzeci i chciał powiedzieć złodziei, ale nie dokończył słowa.

Grad soldów i półlirówek spadł im nagle na głowy, na plecy, potoczył się po pokładzie z piekielnym hałasem. (...)

– Macie tu swoje pieniądze! Trzymajcie swoje grosze! – krzyknął z pogardą chłopiec, zerwawszy firankę swojej kajuty. – Nie przyjmuję wsparcia od tych, którzy moją ojczyznę znieważają”.

Mamy tu, w jakże chwytającym za serce i niby niewinnie moralnym epizodzie, pełny wykład ideologii ekonomicznej autarchii. Myślicie, iż jesteście silniejsi i nie obędziemy się bez waszych banków. Nie, my oto zdajemy się na samowystarczalność. Precz wasze pieniądze! Damy sobie radę sami, choćby przyszło nam nawet nie jeść czekolady i zaciskać pasa. To kwestia godności narodowej, którą rozumie nawet mały chłopak z weneckiej Padwy.

Kolejne „opowiadanie miesięczne”: *Od Apeninów do Andów*. Znów mały chłopak (spojrzenie dziecka jest niewinne, więc w konsekwencji prawdziwe), Marek z Genui wyrusza na poszukiwanie swojej matki, która wyemigrowała do Ameryki. Od czasu do czasu zdarza mu się spotkać Włochów, którzy pomagają mu w peregrinacji. Nie wie, iż jego matka jest umierająca. „I wpadła w straszny szal rozpacz. (...) A z piersi jej

razem z płaczem wydobywały się ciche westchnienia: – O Genuo! O miasto moje... O mój domie. O ty morze moje!”. Aż nagle, po tysiącu przygód, staje przy jej łożu Marek. Włoch u boku Włoszki. Naturalnie staje się cud, Matka odżywa.

„Dziękuję, panie doktorze, dziękuję! dziękuję...

Ale doktor podniósł go [Marka – L.S.] i rzekł:

– Wstań dziecko! To nie ja, to ty, mały bohaterze, ocaliłeś matkę”.

Ocalił kobietę syn, który niósł ze sobą powiew Genui, bez nich (powiewu i patriotycznego syna) sytuacja była już beznadziejna. Zrozumie każdy, choć nawet Amicis tej oczywistości nie dopowiada, że Marek wrócił z matką do Genui. Złe jest bowiem i nieszczęśliwe życie emigrantów. Miejsce Włocha jest we Włoszech. Miejsce dla każdego w mitycznej szkole elementarnej (ojczyźnie) w Turynie, do której uczęszcza Henryk, syn znanego w całym kraju inżyniera.

O *sardyńskim doboszyku* i *Mała wideta lombardzka*. Są to obiektywnie, w merytorycznym przesłaniu, wojenne opowieści identyczne. W pierwszej „doboszyk” biegnie z meldunkiem, co przypłaci amputacją nogi, w drugiej „mały Lombardczyk” znajdzie śmierć, gdy wspiąwszy się na drzewo, obserwuje ruchy wrogich wojsk. Pointa w obu przypadkach jest właściwie identyczna. Gdy chodzi o malca z Lombardii: „Wtem jeden z oficerów rzucił mu swój medal zasługi. Inny znów pochylił się i ucałował zimne czoło chłopca. A kwiaty padały ciągle, na boscie nogi, na piersi skrwawione, na jego jasną główkę, A on, jak gdyby spał na trawie otulony w sztandar, z tą białą twarzą, cichy, uśmiechnięty... właśnie jak gdyby czuł biedny chłopiec tę pośmiertną sławę i jak gdyby był rad, że życie oddał za Lombardie swoją”. W przypadku „doboszyka” z Sardynii: „Kapitan zmarszczył wielkie siwe brwi i utkwiał spojrzenie w chłopcu, przykrył go, po czym jakby mimowolnie, ciągle patrząc na małego dobosza, podniósł rękę do głowy i zdjął kepi. – Panie kapitanie! – wykrzyknął zdumiony chłopiec. – Co pan robi – przede mną?... A wtedy ów szorstki żołnierz, który nigdy łagodnego słowa nie wyrzekł swoim podwładnym, odpowiedział głosem słodkim i wzruszającym: – Ja jestem tylko kapitanem, a ty... bohaterem! – To mówiąc rzucił się z otwartymi ramionami na małego dobosza i ucałował jego pierś, tam gdzie bije serce”.

Nie cytuję tych patetyzmów, żeby wykpiwać pisarstwo Amicisa. Wręcz odwrotnie, widzę w nich zimną i racjonalną ideologiczną konsekwencję. Po pierwsze więc, solidarność społeczna. Nauczyciel mówi do Nobisa, syna kapitalisty: „Widzisz przecież, że są między nami chłopcy różnych stanów, synowie bogatych rodziców i ubogich robotników, a wszyscy się kochają, żyją ze sobą, po bratersku, i widzisz jak im z tym dobrze”. Po drugie, autarchia, samowystarczalność i rodzinna z niej duma, w obliczu których emigracja jest tylko tragicznym nieszczęściem. Po trzecie, tęsknota za silnym

człowiekiem, który proponuje masom czyn zbrojny, i związane z nim militarne *katharsis*. Píše ojciec do Henryka o Garibaldi: „Tysiące Włochów umarło za ojczyznę z uśmiechem, gdy umierając widzieli go choćby z daleka, jak się bije i zwycięża; tysiące dałyby się porąbać za niego”. Idzie potem Henryk z ojcem na defiladę wojsk włoskich. Zachwyca go parada artylerii polnej i górskiej, bardziej jeszcze galopada złotych kirasjerów. Ale ojciec sprowadza go szybko na ziemię.

„– Nie należy patrzeć na wojsko, jak na piękny widok. (...) Turynie dzielny, Genuo wspaniała, uczona Bolonio, Wenecja czarująca, Mediolanie potężny! Kocham was, tym samym synowskim uczuciem. Palermo groźne, Neapolu cudny, i ty wieczny Rzymie. (...) Kocham cię święta ojczyzno”. I tu właśnie znajdujemy czwarty argument: egzaltację korzeni i krwi: „Kocham Włochy, bo matka moja jest Włoszką; bo krew, która płynie w moich żyłach, jest włoska; bo włoska jest ziemia, w której pogrzebani są ci, po których płacze moja matka i których cześć mój ojciec; bo miasto, w którym się urodziłem, bo język, jakim mówię, książki, z których się uczę, brat mój i siostra, moi towarzysze, cały ten wielki naród, wśród którego żyję, cała ta piękna przyroda, jaka mnie otacza, wszystko co widzę, co kocham, czego się uczę, co wielkie jest – włoskie” (podkr. L.S.). I żeby nie było już żadnych wątpliwości: „Kocham cię święta ojczyzno! (...) A kiedy przyjdzie taki dzień, że krwi i życia zażądaś ode mnie, oddam ci krew i oddam ci życie i umrę z okrzykiem drogiego imienia twojego, ostatnie spojrzenie, ostatni pocałunek przesyłając twej świętemu sztandarowi”. Egzaltacji narodowej nieodłączny jest sztandar i czyn wojenny.

Myliłby się ten, kto sprowadzałby program Amicisa do rangi naiwnej czytanki dla dzieci, na którą jest stylizowany. W 1919 roku, w proteście przeciw traktatowi zawartemu przez Amerykanów, Anglików i Francuzów w Saint-Germain-en-Laye, oddającemu Rijekę (Fiume) Chorwacji (Jugosławii), oddziały ochotników zgromadzonych przez Gabriele d'Annunzio zajmują samowolnie miasto. Kim jest d'Annunzio? Ależ nie politykiem. Przede wszystkim poetą. I to nie byle jakim. Jego *Canto Novo* (1882) zaliczyć można do pereł literatury włoskiej. Już jednak w jego powieściach odnajdujemy słowo po słowie, acz stylem umiejętniejszym oddane tezy Amicisa (zresztą był jego wielbicielem): solidarność, odrębność, nacjonalizm i rozszerzenie, czy też utrzymanie narodowej „przestrzeni życiowej”. „We Fiume d'Annunzia – pisał hrabia Carlo Sforza w *Twórcach nowej Europy* (wyd. polskie 1932) – znajdowały się już w zarodku wszystkie czynniki, które następnie utworzyły faszyzm we Włoszech”, albo raczej ten faszyzm ze swoich początków, który w Europie jakże wielu nie tylko polityków fascynował i po którym spodziewano się, że będzie nową drogą między autorytaryzmem i zdegenerowaną demokracją, nową formułą i błogosławieństwem dla narodów”. Wielka apologetka i tłumaczka

Amicisa Maria Konopnicka już tych lat nie dożyła. Wolno nam jednak sądzić, iż pomiędzy wieloma była-by i ona entuzjastką spełniania się jego idei. Nie darmo ze spuścizny d'Annunzia przekładała przede wszystkim jego najbardziej „patriotyczne” teksty i z nich zapewne wysłała ten elementarny, ale i rozpaczliwie redukcyjny program narodowy: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”. Nikt, o ile mi wiadomo, nie zajął się do dzisiaj problemem wpływu włoskiej twórczości końca XIX wieku na strofy *Śpiewnika historycznego*. Szkoda. Nie jest to jednak temat na ten artykuł.

Pod koniec lat 40., już po klęsce Mussoliniego, ukazuje się we Włoszech bis repetita *Serca* Amicisa: *Proszę do klasy* Giovanniego Moski. Scenografia jest dokładnie taka sama. Wszystko rozgrywa się w szkole będącej miniaturą państwa. Jak diametralnie jest jednak inna jej wizja! U Amicisa uczniowie dowiadują się o śmierci Cavoura (dla nieuków: Camillo Benso hrabia Cavour [1810-61], premier Piemontu, architekt zjednoczenia Włoch): „Myśl jego zwracała się gorąco do spraw państwa, do prowincji, które się połączyć miały, z nami, do wielkiego, nieskończonego jeszcze dzieła jedności narodowej. Świadomość znikła już prawie, a jeszcze wołał: – Nauczajcie dzieci. Kształćcie młodzież... Rządzcie wolnomyślnym krajem! (...) Wielkim jego, ostatnim bólem nie było to, że życie mu ucieka, ale to, że odejść musi już, a ojczyzna służy jego potrzebie. Tej służby, która strawiła w niewiele latach potężne siły jego niezwykłego organizmu. Umarł z okrzykiem bojowym na ustach, a śmierć jego była tak wielką, jak życie”.

W relacji Giovanniego Moski na podstawie najnowszych wydanych przez władze zarządzeń (to jeszcze lata faszystowskie) wszyscy wykwalifikowani robotnicy muszą wykazać się co najmniej świadectwem ukończenia szkoły podstawowej. I oto przychodzi na egzamin przerażony Battiston Lorenzo.

„– Czym [to ważny niuans – nie kim, ale czym – L.S., G.G.] jesteście?

– Jestem tramwajarzem, motorniczym, jeśli nie zdam egzaminu, stracę miejsce.

Kiedy umarł Cavour?

Nie jest to takie proste pytanie dla tramwajarza; większość ich nie wie, kiedy umarł Cavour, co nie przeszkadza im bynajmniej doskonale prowadzić tramwaje, nie najeżdżając na nikogo.

Ale nauczycielowi z komisji egzaminacyjnej wydaje się, że nie może być dobrym motorniczym ten, kto nie zna ważnych dat historycznych.

– Umarł... umarł...

Widzę z przerażeniem, że biedaczysko nie tylko nie wie, kiedy umarł, ale że bardzo się zdziwił, dowiadując się z ust nauczyciela o śmierci sławnego ministra.

– Robię nadludzkie wysiłki, żeby mu podpowiedzieć, ale można podpowiedzieć cyfry takie jak trzy, cztery, pięć... Co tu zrobić, żeby podpowiedzieć 1861!?

Och, gdyby tak Cavour umarł zaraz po Chrystusie! Byłaby to wtedy mała liczba, krótka...

Widzę, że nic nie wiecie o Cavourze. Umarł w 1861 roku, a jego ostatnie słowa, jakie były... jakie były jego ostatnie słowa? (...)

– Panie profesorze, nie wiem, jakie były jego ostatnie słowa, może powiedział: «Żegnaj was, moje dzieci»...

– Powiedział: «Wolny Kościół w wolnym Państwie»”.

Opowieść o tym samym zdarzeniu, jakże patetyczna u Amicisa, u Moski zmienia się w omalże sztyderstwo. U Amicisa ojciec zaprasza syna na wizytę u profesora sprzed lat. „Drogi, drogi panie! Nie mów, myśl tylko o tym, ile uczyniłeś dobrego. Jakim szlachetnym trudem było całe twoje życie (...). Żegnaj... dziękuję... żegnaj... odpowiedział staruszek i wzięwszy w drżące dłonie rękę mojego ojca, przycisnął ją sobie do serca. Potem ja go ucałowałem i uczułem, że ma twarz mokrą od łez”. Mosca nie jest w niczym mniej landrynkowy i kiczowy niż Amicis. Wszelako jego nauczyciele są już o sto kilometrów od amicisowskich. Jest panna Cenci – niewyżyta nimfoman-ka, jest profesor Pagliani, który nie zwraca dzieciom zabranych im fantów, jest Antonio Garbini układający zadania matematyczne w myśl swoich merkantylnych marzeń...

Amicis przewróciłby się w grobie.

Jest kwestią interesującą, iż zarówno *Serca* Amicisa, jak i *Proszę do klasy* Giovanniego Moski wydawane były w PRL w masowych nakładach bez jakiegokolwiek interwencji cenzury. Ciekawie to świadczy o kompetencjach owej złowrogiej instytucji nieumiejącej przebić się przez najcieńszą nawet warstwę lukru, pod którą znalazłaby bez większego trudu apoteozę faszyzmu (Amicis) lub też kpinę z totalitaryzmu (Mosca). Jedno lub drugie powinno byłoby kontrolerów sumień urazić. Ale nic z tych rzeczy. W *Proszę do klasy* uczeń Martinelli zachwyca się jarmarcznym zegarkiem, który dwa razy na dobę (czyż trzeba nam więcej?) wskazuje prawdziwą godzinę. Zegarek zabiera mu zły nauczyciel, który także chciałby znać prawdę, choćby w tym jednym niesłychanym momencie. Dobry nauczyciel odkupuje zegarek Martinellemu. Teraz niech on ucieszy się złudą. Jakby tego nie było dość, Mosca dopisuje opowieść o tym, jak Martinelli przynosi do klasy pudełko ze świecącym robaczkiem świętojańskim. Nauczyciel podniósł pokrywkę, zajrzał i wie, że robaczek już zdechl i nie świeci. Martinellemu mówi jednak coś wręcz przeciwnego: „– Ślicznie świeci, Martinelli, ale teraz weź się do nauki”. Jest świat, w którym skuteczność jest ważniejsza od elementarnej prawdy.

I to by było na tyle. Pani Konopnickiej dziękujemy.